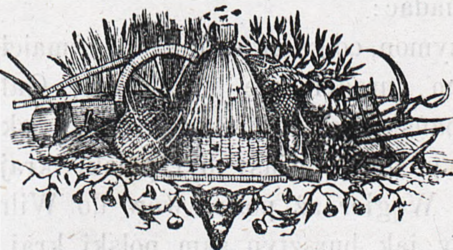
Tom XIII. Nr. 10.

1. października 1865.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Szymon Szymonowicz,

pobożny i sławny Polak.

Miasto polskie Zamość, co go fundował wielki polski pan Jan Zamojski, a co od nas leży nie tak daleko, bo jakie 20 mil ku północy, ma bardzo wysokie mury naokoło tak, żeby się tam i kot nie przedrapał do środka miasta i zowie się dlatego fortecą polską — ale jest tam i ładna fara, gdzie stoi pomnik, na którym napis taki:

„Ten pomnik fundował brat swemu pomarłemu bratu pobożnemu Szymonowi Szymonowiczowi.“

Otóż raz przechodzili się tam gazdowie polscy po kościele z pobożnością i uczciwością, oglądali ołtarze, organy i stanęli przed tym pomnikiem, przeczytali sobie napis od początku do końca i jeden mówi do drugiego:

— Ej! żeby to kto opowiedział nam o tym pobożnym Polaku, bo jużci musiał on wiele znaczyć, kiedy ma taką pamiątkę aż w domu bożym.

Aż tu nawinął się im jakiś ksiądz, co to usłyszał i powiada:

— Toć ja wam opowiem o tym człowieku, jeno pamiętajcie sobie dobrze.

I jął opowiadać:

— Ten Szymon, co go zwali Polacy rozmaicie i Simonidesem i Szymonowiczem, urodził się w polskiej Galicyi w mieście Lwowie roku pańskiego 1557 za króla polskiego Zygmunta Augusta, bo to po tamte czasy był polski kraj bardzo wielki, od Krakowa do Węgier aż poza Lwów do Wilna i poza Warszawę, to czysty jak bursztyn sam polski kraj.

A gazdowie polscy przemówili na to:

— To znowu jakoś Jegomość nam gada po nijakiemu bo co Galicya to Galicya, ma swoje miasta i wsie, a jegomość gadasz tak, jakby nie było dawno Galicyi.

— A wszak nie było, rzecze ksiądz, jeno tu, gdzie dziś Galicya stoi, była koło Krakowa od Biały aż po Krosno i Duklą het poza Wisłę, Sandomierz i Lublin dawna Mała-Polska z miastem królewskiem Kraków; to znowu od Krosna aż poza Sanok była polska ziemia sanocka; a zaś koło Przemyśla ku Lwowu była polska ziemia przemyska, a poza Lwów była polska ziemia halicka, a i to miasto Zamość należało do Małopolski, a potem jak Polskę rozebrali, nito bogaty grunt wielki, to od Krakowa aż poza Lwów nazwali ten polski kraj Galicyą od miasta staropolskiego Halicz i otóż widzicie, że dawno nie było Galicyi, a temu nie ma 100 lat, jak ta Galicya nastała.

— Aha! podumali sobie gazdowie polscy, to teraz rozumiemy, jak to te rzeczy stoją, ale gadajno nam jegomość z łaski swojej dalej o tym Szymonie pobożnym i mądrym.

A ksiądz tak dalej gadał:

— Ojciec tego Szymona był mieszczaninem we Lwowie, chodził sobie w stroju polskim, aże miał bardzo dużo rozumu, to go Lwowianie Polacy obrali sobie do urzędu nito na wójta gromadzkiego i nazywali go: pan rajca miejski. Toż każdy mądry ojciec chce mieć i mądre dzieci, a ostatni głuptak taki ojciec, co sam nic nie wie i dziecka swego nie chce dać wyuczyć. Ojciec tego Szymona posyłał go zaraz za młodu do szkoły w samym Lwowie, a chłopak uczył się bardzo dobrze,

toż jak przeszedł wszystkie nauki we Lwowie jak się patrzy, to mówił do ojca tak:

— Dobry ojcze! daj mię też jeszcze do Krakowa do szkół, tam są szkoły największe polskie, a ja się wyuczę na mądrego i pobożnego Polaka, a potem opiszę to wszystko z mojej głowy dla drugich Polaków, aby znowu drudzy odemnie się uczyli wszystkiego dobrego.

— No! i cóż ojciec zrobił z nim? pytali gazdowie, toć przecie takiego ochotnego do nauki dziecka nie zmarnował, boby go za to pan Bóg pokarał.

— A jużci, rzecze ksiądz, zawiózł go sam do Krakowa, najął mu izbę i wikt, pokupił książki i powiada:

— No! chłopcze, pamiętajże sobie, abyś mi się uczył, abyś mej pracy nie marnował; a pisz mi po szkole i składaj sobie pięknie słówko do słówka na papierku, tak jakoś robił w domu, coś czytał i matce, a z czego matka nieraz aż płakała z uciechy.

I zostawił on syna w Krakowie, a syn się uczył i napisał sobie i wydumał rankami i wieczorami taką książkę ładną, gdzie opisał żywot św. Stanisława, a ta cała książka była tak napisana, że się słowa składały gładko i jednako, nito liście na kwiatkach, nito włosy w jeden warkocz, za co go pochwalił sam biskup krakowski, potem sam król, a Polacy mądrzy to przepadali za nim.

— Hoho! patrzajcie no moi kochani! gadali sobie gazdy i kiwali głowami, jakto pan Bóg da jednemu i drugiemu takiego coś w głowie, że mu się z głowy sypie jak zboże z rozprutego worka, jeno zacznie gadać, to tam nie ma końca aż strach, a znowu weźmie za pióro i nuż masz co i cały tydzień czytać, a jakci zacznie to czytać, co napisał, to ci się głowa kręci a nieraz trza i zapłakać, tyle tam świętego i pobożnego.

— To prawda! moi dobrzy, rzecze ksiądz, że Bóg daje każdemu głowę i rozum, ale trza o tę głowę dbać i o ten rozum stać, trza się uczyć w kościele, w szkole i od rozmaitych ludzi, a dopiero wtedy będziesz miał tyle rozumu, ile zboża w komorze, jak wszystko wymłócisz, zwiejesz, wyczynisz, i oporządzisz jak potrzeba, boć do komory ziarno samo nie zalezie ani nie skoczy do skrzyni, tak i do głowy nauka sama

nie przyjdzie, jeno trza się uczyć powoli i pomaleńku. Tak też robił i ten Szymon, za 15 lat ukończył szkoły we Lwowie i Krakowie, a potem znowu prosi ojca i gada:

— Ojcze dobry! ja cię już dużo kosztuję, ale dopomóż mi, abym ja poszedł po naukę w kraje Ojca św., abym się nauczył wszystkiego i widział wszystko na własne oczy.

— No może go już nie dał do szkół? pytali gazdy, kiedy 15 lat na niego łożył.

— A gdzie tam! mówił ksiądz, dobry ojciec da ostatnią koszulę dla dziecka, jeżeli chodzi o duszne zbawienie — toż i ojciec wysłał Szymona tego do szkół, gdzie Ojciec św. sam rządzi, a potem wysłał go do Paryża, gdzie siedzi cesarz Francuzów i tak widzicie do 30 roku ukończył ten Szymon wszystkie szkoły, zjechał dużo światu i wrócił do ojca do Lwowa, aby sobie odpocząć. Ale każdy człowiek uczy się na to, aby sam miał dobry rozum dla siebie, aby był pobożny i aby też swoim dobrym rozumem dopomagał i drugim do dobrego — bo kto nauki używa na złe i na szkodę drugich i na obrazę Boga, to pożal się Boże takiego rozumu — toż i ten Szymon nie posiedział długo w domu, bo zaraz wziąłci go ze Lwowa do dworu swego taki wielki i bogaty pan polski Jan Zamojski i przywiózł go w wielkiej paradzie i w karecie do miasta Zamościa, dał mu wszystko, dał mu dużo dukatów i oddał mu swego syna Tomka do nauki i powiedział mu:

— Jak mi mój Szymonie wyuczysz mego Tomka, że będzie z niego coś, że będzie z niego mądry i pobożny Polak, to ci na końcu podaruję wieś, abyś miał dla siebie i dla krewnych twoich pamiątkę.

— No! no! zawołali gazdowie, a to dopiero był szczęśliwy ten Szymon, a to się pocieszyli krewniacy jego, że będą mieli pomoc z niego.

A ksiądz powiada:

— A jakto oni radowali się wtedy, kiedy ich Szymon jechał w wielkiej paradzie i na paradnym wozie na cztery konie ze Lwowa do tego pana! A ludzie gadali na to:

— Mój Boże! co to znaczy, jak kto za młodu wyuczy się czego! pobieduje, nie dośpi i nie doje, to prawda, ale też

za to ma chleb, grosz i honor na całe życie i ojca i matkę z całą swoją rodziną uszczęśliwić może.

— To prawda święta, mówili ludzie, że każda okruszyna, co idzie na szkołę i naukę dziecka, przynosi potem wory złota i niebo dla duszy. Ale czy też ten Szymon dostał tę wieś?

— A coby nie dostał, rzecze ksiądz, jak wyuczył tego panicza Tomka, to mu pan Zamojski dał odrazu wieś wielką Czernęcin pod samem miastem Zamościem i tam sobie siedział jak pan ten Szymon, a krewniacy jego mieli przy nim bardzo dobrze. Jeno ten Szymon nie zapominał nigdy o tem, że on był rodu mieszczańskiego, że nie trza się pysznić ani z rozumu, ani pobożności ani majątku, a choć wyszedł na pana z woli pana Boga, to nie pogardzał krajanami, ani się nie wstydził swoich krewnych, co go odwiedzali w kapotach polskich.

— Ho! mówili gazdowie, to jak miał taką wieś, to mógł sobie cicho siedzieć i leżeć jak u Boga za piecem.

— A nie gadajcie tak, rzecze ksiądz, bo kawałka chleba nie powinien nikt darmo jeść, za młodu pracuj nieboże, abyś miał na stare lata, a na starość pracuj znowu nieboże, aby mieli po twojej śmierci drudzy — i za chwilę czasu trza kiedyś odpowiadać na sądzie bożym, a co przejesz darmusieńko, co przehulasz durniusieńko, za to nieboże trza kiedyś dobrze odpowiadać. Wiedział to ten Szymon mądry dobrze, toż za młodu uczył się nawet po nocach, a gdy w niedzielę drudzy hulali, on zaś kawęczał nad książką, a jak mu Bóg dał dosyć chleba i pieniędzy, to on nie był taki głupi, aby to zmarnował, albo nic już nie robił, jeno sobie jeździł i popuszczał pasa, on dopiero wtedy zamykał się do izby i pisał dla drugich takie pisma, że wszyscy kupowali i czytali. Raz ułożył książkę o św. proroku jednym i podarował ją Ojcu św., a jakto Ojciec św. przeczytał, to zaraz zawołał biskupów i powiada:

— Macie tu wieniec poświęcony odemnie i macie tu jeszcze inne dary kosztowne, jedźcie do polskiego kraju, odszukajcie mi tego mądrego i pobożnego Polaka Szymona i oddajcie mu to odemnie i podziękujcie mu za to pismo dobre.

— A co! czy dostał on to do rąk swoich?

— A czemuby nie dostał, gada ksiądz, toż przyjechali ci biskupi od Ojca św. do Warszawy, tam się wypytali o tym Szymonie, a takiego mądrego znałci wtedy każdy Polak, a jak przyjęchali do Zamościa, to sobie myśleli, że taki mądry Szymon siedzi sobie w jakim pałacu, a tu ten pobożny człowiek siedział sobie w prostej chałupie, jak chłopi na wsi, jeno miał sad na-około, płoty dobre, miał komin na chałupie, okna wielkie i była chałupa cała pięknie białą gliną wylepiona.

— A cóż na to ci biskupi? zapytali gazdowie.

— A coby! zdziwili się strasznie na taką pobożność, mówi ksiądz, i pobłogosławili mu tę chałupę a potem oddali mu ten święcony wieniec i te dary od Ojca św. a odchodząc powiedzieli:

— W takiej chałupie czystej i omiecionej i olepionej gdzie są pobożne dusze, mieszka zawsze sam Bóg i jego błogosławieństwo.

A gazdowie kiwali głowami i dumali sobie:

— Jakito szczęśliwy człowiek ten Szymon, wyuczył się, ma wszystko, a trzyma się Boga, aż go sam Ojciec św. chwali i błogosławi — toć już takiemu prosta droga do nieba.

A ksiądz powiada im na to:

— To jeszcze nie koniec pobożności tego Szymona, bo jak wtedy była wojna z Turkami i Tatarami, a król polski kazał pójść na wojnę panu Zamojskiemu, to i starowina Szymon poszedł na tę wojnę, aby tam życie swoje dać za wiarę św.

— A to może go tam zabili?

— Zabić go nie zabili, rzecze ksiądz, on wrócił szczęśliwie do swej wsi, robił dobrze całej gromadzie, radził do wszystkiego dobrego, fundował szkołę w gromadzie, dawał dobry przykład gromadzie, dawał zapomogę, dawał różne pisma Polakom, aż za takie pobożne życie zjechali się panowie i biskupi do króla do Warszawy i powiadają:

— My chcemy królu, aby ten mądry i pobożny Szymon został szlachcicem jak my i aby jego cała rodzina nie była odtąd nazywana mieszczanami, ale szlachcicami.

— A cóż król sam na to? pytali gazdowie.

— Król dorazu przystał, powiada ksiądz, i ten Szymon, mieszczańskie dziecko ze Lwowa, został panem polskim nie

z rodu ani za pieniądze. ale za swoją wielką naukę, za pobożność i za to, że dużo książek dobrych napisał dla Polaków. A to się wszystko porobiło tak pięknie i ładnie w Warszawie za króla Zygmunta III. roku pańskiego 1590 w trzy dni przed samym św. Wojciechem.

— Oho! to to już dawne czasy!

A ksiądz powiada:

— To już dobre 250 lat temu, ale my to mamy napisane wszystko i wiemy to jak dziś, bo dobrych ludzi pamiętają długo, długo ludzie, a Bóg o nich nigdy nie zapomina.

— A gdzie on też umarł?

Ksiądz na to:

— On umarł roku 1629 na początku maja i leży pochowany tu w Zamościu, a brat jego fundował mu ten pomnik na pamiątkę.

— A gdzie też podział się jego majątek?

Ksiądz na to:

— Jego majątek wrócił do Boga — oto zapisał wielką sumę na kościoł, zapisał znowu drugą sumę na profesora, aby był zawsze profesor dla dzieci przy szkole, wszystkie pisma zostawił dla szkoły, aby mieli co Polacy czytać po jego śmierci, dużo rozdał ubogim, a resztę dał krewniakom. Otóż dał mu Bóg długie życie aż 72 lat, a żył pobożnie i nie żenił się jak księża, aby miał więcej czasu do nauki.

A gazdowie zawołali potem:

— Niech takiemu każdemu mądremu i pobożnemu Polakowi da Bóg wieczny odpoczynek Amen.

Potem podziękowali księdzu, zmówili paciorek i odeszli do domu, a rozpowiadali to wszystkim.

Ksiądz Wojciech z Medyki.

Polski kraj i polski lud.

Mnóstwo jest ludzi na Bożej ziemi,
Są ludzie tacy — owacy —
Między ludami jednak wszystkiemi,
Najmilsi zawsze swojacy!

Różne na świecie żyją narody,
I z różnej żywią się pracy,
Różne dla siebie mają zawody,
Lecz nie masz już jak Polacy!

Bo polski naród to po nad ludy,
Wystaje siłą i cnotą,
Gotów na boje, gotów na trudy,
Wesół serdeczną ochotą!

Czy to do szabli, do bitwy z wrogiem,
Czy do nauki, do pracy,
Do zgody z ludźmi, do zgody z Bogiem,
Najpierwsi zawsze Polacy!

Bogata Anglia — Francuzi hardzi,
A sprytni Niemcy, Prusacy,
Ale nie tacy dzielni i twardzi,
Jako my wiara Polacy!

Mnóstwo jest krajów na bożym świecie;
Że człek aż zapomina,
Lecz między temi krajami przecie
Najmilsza polska kraina!

Polska to tylu świętych wydała,
Sławnych rycerzy, hetmanów,
I pełna chwały i dzielna cała,
Żyje wśród swoich łanów!

I chleb najlepszy na polskiej niwie.
I najweselsza piosenka,
Polsce króluje najmiłościwiej,
Z nieba Najświętsza panienka!

Wojtek ze Smolnicy.

Moczymorda i Łapikwarta.

Ucieszna historja dwóch pijaków.

Żyło we wsi Dolewkach dwóch sławnych pijaków, istne obrzydzenie i zgroza całej poczciwej gromady w tej wiosce. Jeden się zwał Moczymorda, drugi Łapikwarta, a obaj byli

sobie sąsiadami i wielkimi przyjaciołmi, bo złe ze złem zejdzie się zawsze rychło. Co zarobili, co zebrali z pola, co sprzedali, wszystko szło na wódkę żydowską. Bywało ludzie w polu przy pracy, lub na modlitwie w kościele — a Moczymorda z Łapikwartą piją w karczmie, tańcują słabemi nogami i spiewają:

Kieliszek, braciszek, kwatereczka siostra
Ręka przyjaciółka do gęby poniosła!

Oj piękny mi to braciszek, ten kieliszek gorzałczany, przebrzydły! Pięknaż mi to siostra kwatereczka, co do nędzy i grobu doprowadza! Oj pono gdyby mieli byli obaj ci opoje rozum w głowie i Boga w sercu, byliby tak sobie spiewali:

Kieliszek opryszek, kwatereczka biéda,
Zatłuką cię na śmierć pod ławą u żyda!...

Ale mówże do pijaka, kiedy u niego wódka i Bogiem i cnotą i szczęściem i wszystkiem na świecie dopóty, aż wreszcie skapie pod płotem!

Otóż tak było i z tymi dwóma bezbożnikami opojami, Łapikwartą i Moczymordą.

Pewnego razu sprzedali oni ostatnią resztę żyta i ziemniaków żydom, posiadali oklep na konie, bo już wozy dawno poszły za szynkfas, i wyjechali niby to na targ do miasta a naprawdę tylko na to, aby się zapić na szynku. I ledwie na ćwierć milę za wieś wyjechali, zatrzymali się przy karczmie, co była koło drogi.

— Słuchaj no Łapikwarta! — mówi Moczymorda – chyba wstąpimy, aby konie odpoczęły!

— A jużci, że trzeba wstąpić, a zdałoby się i coś przełknąć, bo mi coś w żołądku nie dobrze — odpowiada Moczymorda.

I nie mówiąc wiele, wstąpili do karczmy i poczęli trąbić w najlepsze. Kieliszek po kieliszku szedł do gardła, a grosz po groszu do żyda. Już się obaj tak spili, że się na nogach utrzymać nie mogli, a jeszcze pili dalej bez miary i końca, wołając do siebie:

— Anu do ciebie Moczymordo!

— Na zdrowie tobie Łapikwarto!

Kiedy już obaj byli bez opamiętania, popadali pod ławy i poczęli spać. W tem naraz śni się Łapikwarcie, że spi w swej chacie, i że jakiś rabuś do niego się zakrada. Więc też przez sen pocznie pod ławą wymachiwać rękami i namacał Moczymordę, co koło niego także leżał, a namacawszy go, począł go okrutnie okładać pięściami. Moczymorda zaś czując bicie okrutne, myślał także we śnie, że go opadł jakiś rozbójnik i pocznie znowu tłumić i tłuc z całej mocy swego przyjaciela.

— Moczymorda! ratuj! bo mnie jakiś rozbójnik chce zabić! woła na pół we śnie, na pół na jawie i nuż po karku swego przyjaciela.

— Ba a mnie także, bracie Łapikwarto! — odpowiada przyjaciel i nuż po głowie Moczymordę!

— Kiedy tak! — woła na pół przebudzony już Moczymorda — to bij ty swego, a ja swego! — i poczęli się bić i czubić, aż arendarz nadbiegł i roztrącił obu pijaków.

Popatrzyli się obaj pijacy na siebie, a że się wytrzeźwili w bitce, więc też przeprosili się obaj, że się tak przez omyłkę potłukli! Dalej że pić znowu! Kiedy tak piją i wykrzykują, weszło do karczmy kilku jakichś włóczęgów, zażądało wódki i usiadło sobie przy Moczymordzie i Łapikwarcie.

Byli to jacyś urwisze i nicponie — ale że tęgo pili, więc obaj opoje z Dolewek zaraz z nimi się poprzyjaźnil i poczęli wszyscy razem spijać gorzałkę okrutnym sposobem.

I tak minął na pijatyce i na hulaniu dzień cały; pod noc znowu pić zaczęli i już gdzieś było na świtaniu, kiedy Łapikwarta i Moczymorda padli jak zabici na ziemię. Wówczas to ci urwisze, co pili z nimi, zmówili się z niecnotą arendarzem, odebrali wszystkie pieniądze Moczymordzie i Łapikwarcie, zdjęli z nich kożuchy, ściągnęli buty i pozabierali futrzane czapki.

Kiedy ich tak już do szczętu obrali ze wszystkiego, wynieśli ich het za karczmę, posadzili obu na płocie jak na koniu, przywiązali ich dobrze, poobwiązywali koły jak końskie głowy sznurami i obwinęli im te sznury około rąk.

Kiedy ci hultaje sobie z nimi wyrabiają figle, obudził się Łapikwarta i jego przyjaciel i wołają:

— Hola! panowie! a co wy z nami robicie?

— A cóżby! ot wsadziliśmy was na wasze konie, i dali lejce do rąk, jedźcie do domu, bo już świt!

— Aha! — wołają Łapikwarta i Moczymorda — dziękujemy wam z serca, trzeba chyba już jechać!

— A jedźcie już, jedźcie do domu!

Obaj opoje poruszyli się na płocie, ale że byli pijani i bez pamięci, więc myśleli naprawdę, że już siedzą na swych koniach. Że zaś nie mieli na sobie ani kożuchów ani butów, a to już było w późnej jesieni i na dobrym przymrozku, więc im się zimno zrobiło i mówią:

— Uh! ale to nas jakieś tęgie zimno przybiera!

— Ano boście się zaspali zwyczajnie! — mówią ze śmiechem hultaje. Jeno zatnijcie konie a pędźcie kłusem do domu, to się prędko ogrzejecie!

— A to chyba dobrze! Bywajcie zdrowi! — zawołał Łapikwarta.

— Bywajcie zdrowi! — zawołali hultaje i z okrutnym śmiechem odeszli.

Tymczasem Łapikwarta i Moczymorda poczęli bić nogami i kułakami w płot, niby po koniach i krzyczyć wio! wio! — ale że ich i zimno zebrało i oczy im się kleiły, więc jak byli przywiązani do płotu, tak też i pozasypiali Tymczasem owi hultaje wrócili do karczmy, zabrali im ich konie i uciekli co prędzej!

Tymczasem już się dzień zrobił, ludzie szli koło płotu i poczęli stawać i patrzyć się na obu pijaków śpiących okracz na płotach jak na koniach i przywiązanych powrozem. Nadeszło także przypadkiem kilku gospodarzy z Dolewek i zebrała się tak tęgo kupa ludzi i patrzyli wszyscy z okrutnym śmiechem na to widowisko.

Nareszcie jeden znajomy potrząsł Łapikwartą, zbudził go i woła:

— Hej Łapikwarto, a wy co robicie?

Obudził się Łapikwarta, przetarł oczy, ziewnął szeroko i mówi:

— A ot jadę do domu! A szelma szkapa nie chce coś

pędzić! Wio! wio! i chwyciwszy w ręce powróz począł bić kułakiem w płot.

Ludzie w śmiech jeszcze większy — a Moczymorda obudziwszy się i słysząc, jak Łapikwarta huka na swego konia, począł także wołać:

— Poczekajcie no sąsiedzie, pojedziem razem! Wio! wio! — i zaczął także bić i ruszać się po płocie.

Ludzie się śmieją z całej siły, aż nareszcie obaj opoje widząc, że ich konie jakoś się nie ruszają, oglądają się dobrze po sobie i widzą że siedzą na płotach bez butów i kożuchów. Że zaś już się trochę przez mróz i spanie wytrzeźwili, więc okrutny wziął ich wstyd i gniew, że się tak okraść i na wstyd wystawić dali.

Ludzie odwiązali ich od płotów a Moczymorda i Łapikwarta boso, bez kożuchów i czapek pobiegli do wsi i tak wśród śmiechu całej gromady ledwie żywi ze wstydu i zgryzoty wrócili do swych chat i niedość jeszcze straty, odchorowali na zdrowiu cały swój pijacki przytrafunek.

Tak to się dzieje pijakom!....

Piękne przykłady.

Szkoła w Gręboszowie.

Bogu dzięki w kraju naszym przychodzą powoli ludzie do rozumu i przekonywują się, że niczego teraz tak bardzo nie potrzeba wieśniakowi jak oświaty i nauki. To też szkółki za Bożą pomocą mnożą się po wsiach, a z czasem to wstyd okrutny i hańba będzie dla tej gromady, gdzie nie będzie szkoły!

Gdzieniegdzie ludzie nietylko szkółki budują ale i szpitale dla ubogich chorych. Za granicą to prawie co w piątej wsi jest taki szpital dla ubogich — a u nas to jeszcze rzadkość jest wielka. Dlatego też dla pięknego przykładu donosimy, że włościanie z Gręboszowa wymurowali sobie porządną szkołę i szpital, co razem do ośm tysięcy złr. kosztowało. Wprawdzie Gręboszanie nie sami się wzmogli na ten wielki wydatek, ale im pomogli do tego dobrzy panowie — ale też i same gromady

nie mało grosza dały. Zaś dla tych panów, którzy do wymurowania budynku pomogli, przesłali poczciwi wieśniacy z okolicy Gręboszowa takie podziękowanie do gazet, aby wszyscy ludzie wiedzieli o tej pięknej sprawie:

Podziękowanie.

„Po długich latach biedowania dzieci naszych przy nauce w małej i niedogodnej izbinie, doczekaliśmy się przy pomocy Bożej nowego szkolnego domu. Wprawdzie żeśmy z powodu wielkiego nakładu nie mieli chęci stawiać szkoły murowanej, a to tem bardziej, żeśmy zdawna przez nieustanne wylewy wody zniszczeni, przy szczupłych gruntach mimo najszczerszych chęci naszych wszystkim potrzebom zaradzić nie mogli. Lecz teraz, gdy widzimy dom wspaniały wymurowany, w którym pod jednym dachem mieści się szkoła o dwóch obszernych izbach, pomieszkanie dla nauczyciela i szpital dla ubogich, cieszymy się, żeśmy grosz nie darmo wydali, boć to kapitał złożony na wielki procent nie tylko dla dzieci, ale i dla prawnuków naszych.

Za rychłe przeprowadzenie wybudowania tego domu, który wraz z potrzebnemi przybudowaniami około 8000 złr. kosztuje, składamy niniejszem powinne podziękowanie wys. władzy krajowej; niemniej winni jesteśmy dozgonną wdzięczność JW. hrabstwu Zofii i Józefowi Załuskim, którzy na nabytem przez się miejscu własnym kosztem kilku tysięcy złr. (3.862 złr.) budowę tego domu przeprowadzili.

Czujemy to wprawdzie sami, własnem doświadczeniem nauczeni, jak bardzo nauka dla dzieci naszych jest potrzebną, lecz w tem przekonaniu utwierdziła nas jeszcze bardziej uroczystość poświęcenia tej nowej szkoły, która się d. 17. września b. r. odbyła. Na tę albowiem uroczystość pomimo słoty przybyli o kilka mil PP. urzędnicy powiatu żabieńskiego z W. Dr. Przesmyckim naczelnikiem, wielu sąsiednich panów i ksiądz kanonik Lgocki z Otfinowa, który przy asyście miejscowego duchowieństwa obrzędu poświęcenia dopełnił. JW. hrabia Załuski z powodu słabości nie będąc obecnym, przesłał jednak przez W. Zielonkę jako swego zastępcę dla dzieci naszych na potrzeby szkolne 20 złr.

Za te wszystkie łaski i dobrodziejstwa nam i dzieciom naszym wyświadczone, składamy niniejszem najszczersze podziękowanie! Niech Bóg Oddawca wszelkiego dobra stokrotnie odpłaci swem błogosławieństwem wszystkim pragnącym naszego i dzieci naszych szczęścia, o co Go błagać nigdy nie przestaniemy!

Wójci i deputowani:

Florjan Szabla i Franciszek Wytrwał z Gręboszowa: Andrzej Koziara i Paweł Wierzbówka z Woli Gręboszowskiej; Błażej Szarek i Antoni Skałak z Uścia Jezuickiego; Maciej Kwiecień i Kazimierz Msio z Pałuszyc; Tomasz Dubiel i Wojciech Skiba z Lubiczka; Antoni Smoła i Stanisław Bochenek z Zawierzbia; Jan Płaneta i Wojciech Ziarko z Biskupic."

Szczęść Boże Gręboszanom i ich sąsiadom, niech nauce ich dziatkom Bóg błogosławi! My zaś zapisując wam to wszystko w *Dzwonku* życzymy z serca, aby Bóg natchnął i innych kmiotków i panów do takich chwalebnych i pięknych uczynków. Już to jeśli tylko gdzie gromada mądra i dobra i weźmie się z serca do dzieła, to już z pewnością znajdzie pomoc Boską i ludzką.

O kradzieży po sadach.

Skończyło się lato i na schyłku jesień, lecz narzekania wielu, a szczególniej sadowych na złodziei owoców nie idą w zapomnienie, owszem służą im za pogadankę przy długich wieczorach, bo rok rocznie nie widzą poprawy, lecz owszem wielu jest takich, którzy jakoś nie mają sobie za grzech, napadać na cudze sady i zabierać owoc.

Narwać komu owocu może być wprawdzie małą kradzieżą, zważywszy na wartość jego, może pare groszy wynoszącą. Jest przecież kradzieżą, bo jest przywłaszczeniem sobie cudzej własności bez pozwolenia właściciela.

Kradzież owocu nie jest z wielu względów małą, lecz wielką kradzieżą. Taka kradzież bywa pospolicie nocą i gwałtownie popełnianą: rzucaniem kamieniami, kołkami, obłamywa-

niem gałęzi, otłukaniem tyczkami i t. d. bez najmniejszej ochrony drzewa. Tak zrabowane drzewo, jakąże zostawiło postać dla właściciela drzew owocowych? smutną. Takie drzewo pokaleczone, z liścia i gałęzi ogołocone, nie może długo pozostać zdrowem, a właściciel nietylko, że utraci drzewo, lecz i pewny coroczny dochód z niego. Drzewo jest kapitałem, a owoc procentem, stracił więc właściciel i kapitał i procent. Wartość skradzionego owocu wydawała się małoznaczącą, lecz w skutkach okazało się, że to jest wielką kradzieżą. Dlatego nie dziw, że w niektórych krajach wielka kara czeka tych, którzy kradną owoc, albo drzewa uszkadzają. Spytajmy się właścicieli, dlaczego ich grunta, ogrody, drogi i t. p. miejsca, nie są drzewem owocowem obsadzone? Odbierzemy tę smutną odpowiedź: Cóżbym z tego miał? chyba dla złodziei sadziłbym, a dla siebie zmartwienie. Z takiej odpowiedzi trzeba się smucić i bardzo smucić, bo widoczny mamy dowód, że moralność upada, że dzieci, słudzy i rzemieślniczykowie są bez dozoru, że głos z ambony, głos w szkole są głosem wołającego na puszczy, że słowo Boże nie pada na ziemię urodzajną.

Gdyby wszyscy rodzice, rękodzielnicy i gospodarze wiejscy usilnie popierali naukę moralności, toby to nieuszanowanie cudzej własności musiało ustać. Tedyby i kradzież owoców ustała a właściciele gruntów, albo całe gminy wzięłyby się chętniej do zamiłowania drzew owocowych i liczniejby zakładały ogrody owocowe i drogi polne obsadziłyby takiemi drzewami. Cały kraj na ogród owocowy mógłby być zamienionym, a ile to pożytku z owocu na własny posiłek, lub na sprzedaż! Taki to błogi byłby skutek, gdyby ustały a przynajmniej zmniejszyły się znacznie kradzieże owoców!

RÓŻNOŚCI.

Nie zdurzysz panie aptekarzu! Przywiózł raz chłopek drzewo do Tarnowa na targ. Kupił to drzewo od niego aptekarz i kazał mu je zawieść do swego domu. Gdy już chłopek drzewo złożył, wszedł do apteki po zapłatę, a aptekarz kontent z tanego kupna zapłacił mu a w dodatku nalał kieliszek wódki dobrej aptekarskiej i poczęstował chłopka.

Chłopek wypił, cmoknął, bo wódka była dobra a na dworze mróz siarczysty, podziękował i chciał już odejść, kiedy to aptekarz chcąc zadrwić z chłopka i przestraszyć go, udaje przestraszonego, patrzy na flaszkę z której wódkę nalał i woła:

— Dla Boga! ta to w tej flaszce trucizna!

Lecz chłopek nasz poznał się na żarcie, a choć ta wódka inny smak i kolor miała od zwykłej, jaką to po karczmach szynkują, nie zląkł się bardzo, ale bierze za próżny kieliszek większy od pierwszego i mówi do aptekarza:

— Nie lękajcie się panie, kiedy już taka była wola Boga, żem wypił truciznę, to nalejcie ot jeszcze ten drugi większy, kiedy już i tak umierać muszę, to niech się choć długo nie męczę.

Wypił tedy drugi jeszcze większy, aż mu się w środku ciepło zrobiło, wsiadł na wóz i pognał do domu śmiejąc się z aptekarza i zdrów jest do dnia dzisiejszego, a kiedy tylko przyjedzie do Tarnowa, to wstąpi do apteki i każe sobie dać tej trucizny spory kieliszek.

Dowcipny Janek Był w jednym dworze pisarz głupi a zarozumiały i kpił sobie nieraz z chłopków. Razu jednego wyprawiał on z końmi młodego parobczaka dworskiego do dużego miasta, by przywiózł ztamtąd panicza do domu na święta A że ten parobczak jeszcze nigdy nie był w dużem mieście, to też mu pisarz bajał o niem niestworzone rzeczy, a straszył go najbardziej jakąś starą babą co siedzi przy rogatce, a strasznie ma nos zatabaczony, aż ohyda bierze patrzeć na nią, a każdy, co wjeżdża pierwszy raz do miasta, musi ją w sam nos pocałować, boć go inaczej nie wpuszczą do miasta. Biedził się tedy biedny parobczak przez całą drogę i przemyśliwał jakby to się wywinąć od tego całowania. Przyjechał na rogatkę i patrzy, że tu ludzie jak wszędzie, a o babie zatabaczonej ani słychu. Opłacił co się należało i czmychnął do miasta, zabrał panicza i wesoł wraca do doma, boć się przekonał, że to był żart i drwinki pisarza, i tak przemyśliwając, jakby tu się pomścić na pisarzu, zajeżdża przed dwór. Wybiegają wszyscy na powitanie panicza i pisarz także z drugimi świszczypałkami, a chcąc ich śmiechem nabawić pyta parobczaka:

— No Janku a jakże tam z babą zatabaczoną?

A parobczak mu na to:

— Oj prawdać paniczu, że siedzi tam babisko strasznie obrzydliwe, ale to tak się tak tam do tego całowania cisnęli takie panicze jak wy, że mię biednego chłopka nawet nie przypuścili i tak przejechałem bez całowania; bo tam jak mówili ludzie, rzadko biednego chłopka przypuszczą.

Schował pisarz żart, jak to mówią, do kieszeni i już więcej sobie nigdy nie drwił z Janka.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.